

Słomczyński, Adam

Muzeum m. st. Warszawy 1946-50 : Fragmenty wspomnień

Almanach Muzealny 5, 241-272

2007

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Adam Słomczyński

MUZEUM M.ST. WARSZAWY 1946-1950. FRAGMENTY WSPOMNIENI*

Gdzieś latem 1946 roku, nie zaprzestając swych poznawczych wędrówek, zaszedłem znów na Stare Miasto, poufale zwane coraz częściej - Starówką.

Już można było zaobserwować pierwsze nieśmiałe próby ratunku. Wygodniejsze przejścia przetarto już Piwną, Świętojańską. Zwały gruzu częściowo uprzątnięto, wywieziono lub po prostu odsunięto na boki.

I Rynek też jakby nieco się oczyścił. Wśród jego połaci, pozbawionych wydartych na budowę barykad kostek granitowych - wyrzały pasma starej warszawskiej, krwią i łzami użyźnionej ziemi.

Zaczęły ją natychmiast porastać jakieś wszędobylskie, wytrwale rośliny czy utrapione chwasty. Wśród nich wznosiły się wątle kłoski owsa, żyta czy pszenicy. Tu i ówdzie wystrzelała sztywna łodyga żółtokwiatnej, wróżebnej dziewanny. Swobodniej można było już iść w coraz liczniejszym towarzystwie, dziwnie jednak zazwyczaj skupionym i ściszym...

Wzrok z nadzieją i tym razem zatrzymywał się na Dekertowskiej stronie. Znac tu było wyraźnie pierwsze, krzepiące zabiegi konserwatorskie. Wejścia i okna były już szczelnie pozabijane deskami lub pozamurowywane. Latarnia Murzynka odbijała się w słońcu czerwienią świeżo położonej dachówki. Wielkie jej okna szczelnie zamurowane - posiadały tylko niewielkie otwory wentylacyjne. Z dala podobne były do jakichś dziwaczych, śmiesznych oczu, dziurek nosowych i gapiowato rozwartych ust.

Pewne roboty konserwatorskie przeprowadzono już w sąsiedniej kamienicze Szlichtingowskiej, gdzie ocalały cenne, malowane, drewniane stropy i powały, a także i w wypalonej doszczętnie w środku kamienicy Baryczków.

* Publikowane fragmenty wspomnień Adama Słomczyńskiego zaczerpnięto z książki *W warszawskim Arsenale*, Warszawa 1971, s. 354-372, 374-387, 394-401. Tytuł, którym je opatrzone, pochodzi od Redakcji.

Poza tym żadne prawdziwe znaki życia jeszcze tu nie dotarły. Nie było ani mieszkańców, ani światła, ani wody, ani nawet wygodnego, bezpiecznego dojazdu.

Chwilami przeciągały tylko coraz rosnące gromadki pielgrzymów. I znów wracała dzwoniąca w uszach cisza...

Wracałem stamtąd zmęczony i zadumany.

Jeszcze w grudniu 1946 roku dotarła do nas na Marszałkowską wieść-plotka: w BGK poszukują podobno „wariata”, który by zechciał zaryzykować organizację Muzeum Miejskiego Warszawy; muzeum to ma się mieścić, tak jak to zresztą zaplanował już Starzyński, w kamieniczkach Pod Murzynkiem, Szlichtingowskiej oraz Baryczkowskiej. Co prawda obecnie całe Stare Miasto leży w gruzach, ale wszystkie te trzy kamieniczki posiadają stojące względnie mocno mury a nawet stropy i dachy; jest trochę przyszłych eksponatów, pozbieranych i zabezpieczonych przez Wydział Kultury; że ponadto część staromiejskich zbiorów uratowało i posiada nadal Muzeum Narodowe, że wreszcie... „dobre chęci” i kredyty są zapewnione.

Propozycję zajęcia się tą sprawą rzucił mi jakby mimochodem wiceprezydent Strzelecki. Kładąc mi rękę na ramieniu dodał, bym się dobrze nad tym zastanowił.

Wkrótce dowiedziałem się, że Stołeczna Rada Narodowa 28 lutego 1947 roku przez aklamację uchwaliła, że: „należy rozpocząć prace organizacyjne i stworzyć odpowiednie warunki dla Muzeum Warszawy”...

W czerwcu tegoż roku kandydata znaleziono. Zaryzykowałem! W lipcu – po przekonsultowaniu wniosku z ówczesną dyrekcją muzeów, a więc przede wszystkim z dyrektorem Lorentzem – powierzono mi prace organizacyjne oraz kierownictwo mającej powstać instytucji. Oczywiście i ja sam wywalczyłem przedtem audiencję u zawsze zajętego dyrektora i przed ostateczną swą decyzją zapytałem wręcz, czy uważa on i może powiedzieć mi bez ogródek, że nadaję się do jakiegoś takiego zadośćuczynienia tak niebotycznemu zadaniu, czy może zaaprobować moją kandydaturę, a co ważniejsze, czy mogę liczyć na jego życzliwą nie tylko pomoc, ale i radę, a nawet (wołałbym „w cztery oczy”) najostrzejszą, lecz przyjacielską krytykę. Bez tego wszystkiego nie podejmę się tej, przerażającej mnie jednak w głębi duszy, roboty.

Przyrzekł, dotrzymał!

Rozpoczęła się więc praca! A były to czasy największego nasilenia zapału, pasji odbudowy.

Zaczęły się narady w gabinecie Strzeleckiego, u dyrektora finansowego Al. Zawadzkiego, w Resorcie Kultury i Sztuki najpierw z H. Ładoszem, a później z moim starym przyjacielem i towarzyszem broni Zygmuntem Dworakowskim...

W naradach tych, a raczej rozmowach – z zapalem dysputowano, krytykowano, snuto domysły, obliczano...

Ważkie, przemyślane, cenne były wypowiedzi dyr. Lorentza, Strzeleckiego. Przysłuchujący się prowadzonym dyskusjom celne nieraz uwagi rzucał z boku Bachulski (rodem właśnie z Rynku staromiejskiego). Dokładali swoje i inni archiwiści miejscy oraz zaprzyjaźnieni historycy, literaci, artyści, dziennikarze.

Udawano się również i na Rynek. Oglądano, deliberowano, przymierzano, korygowano zrodzone uprzednio pomysły. Na specjalne zaproszenie wiceprezydenta Strzeleckiego zjechał do Warszawy prof. dr Tadeusz Dobrowolski z Krakowa, współredaktor i współautor wydanego właśnie drukiem „Muzealnictwa”.

W tym czasie prof. Jan Zachwatowicz – w początku 1947 r. szef naczelny odbudowy zabytków – przydzielił do architektonicznego skonkretyzowania i opracowania adaptacji na muzeum staromiejskich kamieniczek – młodego inżyniera architekta Stanisława Żaryna.

Pan Stanisław, mając już zaprzątniętą głowę i czas wielkim zaszczytnym zadaniem odbudowy kolumny Zygmunta, przyjął z oddaniem i to nowe brzemie.

Uczestniczył cierpliwie w licznych rozmowach, słuchał, notował, rysował, prowadził studia, radził się grona kolegów „zabytkowiczów”, a zwłaszcza swego szefa.

Tak to rodził się stopniowo projekt całości staromiejskiego bloku archiwalno-muzealnego Warszawy.

Trzeba wyjaśnić, że pierwotnie, jeszcze przed wojną, ówczesna koncepcja muzeum na Starym Mieście, jako działu miejskiego wtedy Muzeum Narodowego, obejmowała tylko dwie kamieniczki rynkowe, sąsiadujące z dawną siedzibą zasłużonego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości, pięknie utrzymaną Baryczkowską.

Były to wykupione w wielce opłakanym stanie kamienice Pod Murzynkiem oraz Szlichtingowska. Roboty konserwatorsko-adaptacyjne prowadził wtedy inż. arch. Jan Zachwatowicz. Bezpośrednim gospodarzem był zaś zamordowany przez Niemców kustosz dr Antoni Wiczorkiewicz.

Obecnie horyzonty rozszerzały się. Muzeum miało objąć wszystkie frontowe kamieniczki Dekertowskiej strony oraz trzy od ulicy Nowomiejskiej. Ich zaplecze, oficyny, ganki od Krzywego Koła miały stać się po odbudowie siedzibą Archiwum Miejskiego. Siedzibę przy ul. Marszałkowskiej traktować można było tylko jako prowizorium.

W ten sposób zrealizowałyby się koncepcja zlokalizowania zbiorów warszawskich na Starym Mieście w zgodnej symbiozie. Od frontów rynkowych zbiory wizualne, eksponaty, muzeum; w kompleksie oficyn – dokumentacja, archiwum.

Niepodobieństwem byłoby wdawać się w emocjonujące szczegóły i etapy wyboistej drogi, która doprowadziła do obecnego stanu rzeczy.

Wszystko trzeba było dopiero organizować, a jednocześnie wchodzić z kilofem, łopatą, kielnią w nienaruszone dotąd, bezkształtne jeszcze ruiny.

Na Starówce nie było przecież jeszcze energii elektrycznej, wody, utrudniony był niezwykle wszelki transport. Był jednak ZAPĄŁ, oddanie, dobre współzycie gruntowane wzajemnym zaufaniem i życzliwością CAŁEJ ZAŁOGI!

Rynek ożywił się, lecz żył właściwie jedynie w ciągu godzin pracy. Potem przybysze zwijali manatki i znów nad leżącą w gruzach Starówką zapadała spokojna cisza, zmrok wieczoru, ciemność nocy.

Szlachetne współzawodnictwo trwało wśród dwóch nurtów ówczesnej rynkowej odbudowy.

Jeden KAM-owski Pod Murzynkiem i u Szlichtingów – drugi „prywatny” u Baryczków, których odbudowę, zresztą również pod okiem inż. S. Żaryna, prowadzono z funduszków ofiarowywanych i dostarczanych hojnie przez braci Jabłkowskich, właścicieli Domu Towarowego.

Poza tym już ściśle „prywatny” ruch panował na Nowomiejskiej 10, gdzie swą kamieniczkę wtuloną w rozległy blok archiwalno-muzealny – z uporem, wśród wyrzeczeń – poczęła właśnie podnosić z ruin jej dawna właścicielka, pani Kocentowa.

Początkowo dotkliwie dawał się odczuwać brak możliwie dogodnych a bezpiecznych dojazdów.

We wrześniu jednak 1947 roku rzucono hasło: „odgruzowujemy Stare Miasto”. Zachowała się fotografia, właśnie sprzed Murzynka, na której sam prezydent RP Bolesław Bierut włączył swój czas i trud do wrześniowego dzieła. Stawiali się gromadnie ministrowie, członkowie partii, uczeni i artyści, generałowie i żołnierze, robotnicy, urzędnicy, handlowcy, nawet niemal symboliczni kominiarze. Wszyscy pełni zapału i gotowości. Coraz bardziej oczyszczał się Rynek, coraz bardziej przelotowe stawały się prowadzące doń uliczki. Gruz zaś umacniał nadwiślańskie wybrzeża. Rezultaty były oczywiste. Umożliwiono przez przebicie zagruzowanego wąwozu Nowomiejskiej połączenie z ul. Freta i Długą. Zarazem odsłonięto uliczne włązy i studzienki. Umożliwiło to doprowadzenie od ul. Długiej przewodów wodociągowych i elektrycznych.

Wielkim, własnym świętem staromiejskich pionierów był zanotowany na kliszy pierwszy strumień wody, jaki wytrysnął swobodnie z ustawionego przed Baryczkami hydrantu.

Wkrótce też i pierwszy błysk światła elektrycznego rozjaśnił mroczne wnętrza Murzynka podczas pierwszego staromiejskiego obchodu wiechowego.

W pochmurny dzień 20 listopada 1948 roku, po fajerancie o godzinie czternastej, liczne grono zatrudnionych przez KAM na Rynku Starego Miasta robotników, inżynierów architektów, pracowników Muzeum i Archiwum i poniekórych przyjaciół – udało się na baryczkowską oficynę przy Krzywym Kole 7, mającą stanowić załazek siedziby Archiwum Miejskiego. Wyprowadzone już do poddasza trzypiętrowe mury wieńczyła misterna gmatwanina wykończonych właśnie wiązań dachowych. Na najwyższym szczycie krzyżujących się belek umocowano tradycyjny, przepleciony wstę-



1. Kamienice Muzeum Dawnej Warszawy, 1945 r.



2. Kamienice Schlichtingowska i Baryczkowska, 1949 r.



3. Tablica informacyjna na ogrodzeniu kamienicy Baryczkowskiej, 1949 r.

gami, ozdobiony emblematami ciesielskimi wieniec z zielonych gałęzi świerkowych z napisem: „Muzeum m.st. Warszawy”.

Wokół rozciągał się rozległy widok, którego jeszcze nie ograniczały leżące w ruinach okoliczne budynki. Na dalszym planie, wśród podnoszących się mgieł, wylaniała się ołowiana wstęga Wisły, majaczyły zarysy gnących się od wiatru drzew brzegu Praskiego.

Docierające tu porywiste powiewy witały wdrapujących się po prowizorycznych schodach gości. Gdy zgromadzili się już wszyscy, starszy cieśla Stanisław Szyrkowski rozpoczął w skupieniu celebrować starodawny obrzęd. Solidnym sznurem konopnym oplątał jedyny dostęp na poddasze. Na zapytanie „co to ma znaczyć”, oświadczył tajemniczo, że „taki to już los i obyczaj”. Majster KAM, pan Tadeusz Naroźniak, dodał, że jeśli gospodarz jest zadowolony z solidnej roboty, a pracę ludzką zechce uszanować – to chyba okaże wdzięczność i o jakimś okupie pomyśli!

Tak to właśnie cieśle składają życzenia, aby zdrowo a szczęśliwie przez długie lata pod wianami ich dachu się zamieszkiwało. A dyrektor – gospodarz chyba zechce uwolnić uwięzionych tu gości i przetnie krępujące więzy.

Twardy sznur, cięty podanymi nożycami, zwiśł od razu, „na dobrą wróżbę”, jak stwierdził zadowolony cieśla.

Zdjęto teraz pieczołowicie wieniec i wręczono mi go z powagą. Przyjmując ten pradawny symbol życia wnoszonego na nowe domostwo, ująłem pod ramię mistrza Szyrkowskiego – podziękowałem serdecznie za trud i pracę i zaprosiłem wszystkich na należne wykupiny.

Dalszy ciąg odbył się w odświętnie przystrojonej frontowej sali pierwszego piętra kamienicy Pod Murzynkiem. Szybko zajęto miejsca na po ciesielsku zbitych ławach.

W tej chwili huczne tony skocznej muzyki zapełniły stare wnętrza. Wielce nam udał się wtedy hałaśliwy akordeon w sprawnych rękach harmonisty Sielskiego. Następnie pojawiła się na podium artystka Teatru Polskiego Karolina Lubieńska. Stojąc w swej różanej, wdzięcznej sukience pod barwnym wieńcem, na tle wychodzących na Rynek okien, wyglądała istotnie jak jakiś z dawnych lat wywołany obrazek „cudnych mieszczyk”. Rozpoczęła wierszem Or-Ota o starym eks-kapralu spod znaku Bema, niegdyś właśnie kamieniczkę Pod Murzynkiem ponoć zamieszkującym.

Tymczasem zjawił się zasapany Henryk Ładosz, aktualny szef resortu Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego.

Po zaimprovizowanym wstępie o Warszawie, jej dziejach i odbudowie zwłaszcza jej serca, Starówki, sypać zaczął szczerze wiersz za wierszem.

Zaczął od Światopelka Karpińskiego:

O, buduj się Warszawo! Z rozmachem, szeroko.
Widnokręgom po brzegi. Pod stropy obłokom.

Grzmot oklasków pokrył ostatnie niemal wróżebne, świetnie przy tym wygłoszone słowa poematu, że...

Pół świata czcić Was będzie... drugie pół zazdrości!

Jakżeż były one aktualne, na czasie, właśnie tu, wśród tak straszliwych zniszczeń, jak celnie trafiały wprost w serca!

Następnie uraczył nas wybranymi strofami Benedykta Hertza, Or-Ota i wreszcie pełnymi sugestywnej treści poety Woli - Szymańskiego.

Chwilkę odetchnąwszy, a zwilżywszy zaschnięte gardło... podniecony pełną prostoty, a wdzięczną atmosferą - wypełnił salę na bis huraganami śmiechu „odstawiając” pod mistrzowsku niezawodnego Wiecha!

Zaraz po nim wstąpił na podium posiwały na rusztowaniach, lecz krzepki mistrz murarski Zygmunt Fondaliński, wygłaszając w imieniu zespołu robotniczego Starówki pełne temperamentu i dowcipu przemówienie.

Wreszcie gospodarz dał umówiony znak. Na stołach w mig pojawiły się kosze z pieczywem, talerze, widelce, łyżki. Wśród nich mile przyjęte załśniły butelczyny z dobrze znajomym przeźroczystym płynem.

Tradycyjny pierwszy toast wznosił gospodarz w ręce tych, co budowę tak składnie i solidnie prowadzą.

Wśród nieustającego gwaru i miłego, nieskrępowanego nastroju podsycanego repetowanymi porcjami bigosu, posypały się przemówienia.

Zabrał głos prawie niewidoczny spoza kopiastej porcyjki szef Ładosz - prowokując dowcipnie, a nieco złośliwie do odpowiedzi konserwatora Warszawy, profesora Piotra Biegańskiego. Z kolei i ja wspomniałem o dawnym wyglądzie Rynku, o dawnych jego mieszkańcach - zapoznając przy okazji zebranych z projektami tworzącego się muzeum, jego celami, a także z programem następnych etapów odbudowy pozostałych kamieniczek.

Na stoły wjeżdżają papierosy i jabłka. Porządek jakoś miesza się. Na podium wstępuje znów „dziadzio” Fondalinsio.

Choć gwar rośnie i bractwo staje się coraz ruchliwsze, choć coraz to ktoś coś wygłasza - porządek jest idealny. Nastrój swobodny, rodzinny - staje się coraz miłszy. Nad całością czuwa niestrudzenie pan Tadeusz Naroźniak, filar PPB-10, wkładający w odbudowę Starówki całą swą duszę i serce.

Wszystko się kończy. I mowy, i śpiewy, i wiwaty, a nawet kłopotliwe tradycyjne podrzucanie tego i owego wysoko pod murzynkowską belkowaną powałę. Nie uniknąłem tego i ja.

Czas wreszcie na rozstanie. Wychodzimy na tonący w ciemnościach Rynek. Mocne uściski dłoni. Do widzenia jutro i oby wkrótce przy jakiejś podobnej, większej okazji.

Od strony placu Zamkowego biją światła, wyraźnie dochodzą odgłosy robót na przysłej trasie W-Z.

A na ciemnym Rynku kamienica Pod Murzynkiem jarzy się pełnią światła. W oświetlonych jeszcze oknach snują się żywe, ruchliwe postacie.

Stanowiło to w ciszy i pustce dopiero przywracanej do życia dzielnicy niebawem wprost efekt.

Z żalem opuszczając na kilka godzin tak rzadko widywany o tej porze Rynek - unosiliśmy w oczach i sercach właśnie to światło zaszczepionego już znowu ŻYCIA!

Któregoś dnia dotarła Pod Murzynka sensacyjna wiadomość!

Przy odgruzowywaniu zachowanych resztek parteru kamieniczki, w której obecnie mieści się Muzeum Mickiewiczowskie - runął jakiś murek odsłaniając potrójną, ostrołukową wnękę gotycką.

Wyjrzało z niej na światło dzienne jakieś grające świeżością barw malowidło ścienne. Jakieś mury, blanki, wieże, poza nimi pejzaż z przepływającą rzeką. Ponad łukami głowy w aureolach. Na pierwszym planie tłum postaci, dostojnicy, rycerze w zbrojach i charakterystycznych hełmach.

Zbiegła się większość załogi rynkowej. Wszyscy z nabożeństwem oglądali tak świetnie przechowane malowidło.

Powiadomione zaraz o odkryciu poczęły przychodzić całe procesje fachowców, znawców, augurów... Kiwano głowami, radzono, fotograf Urzędu Konserwatorskiego zrobił kilka zdjęć. Po paru dniach zamknięto wnęki wielkimi, z desek zbitymi wrotami...

Malowidło zaś, wydostawszy się z wilgotnego, ciemnego zacisza, poczęło się rozpaczliwie marszczyć i opadać płatkami tynku. Dopiero po bardzo długim czasie wzięto się wreszcie do zakonserwowania mało już czytelnych, smętnych resztek.

Trzeba dodać z żalem, że ten sam los spotkał i drugie, podobne odkrycie. Tym razem spod opadłych tynków innej kamieniczki z tejże strony Rynku wyjrzał jakiś batalistyczny fragment. Znawców niestety i tym razem w jakiś konkretny sposób nie „wzięło”.

Dopiero trzecie malowidło, odkryte na wysokości pierwszego piętra w sterzącym szczytaku kamienicy przy rogu Rynku i Zapiecka, gdzie dziś mieści się urząd pocztowy - a przedstawiające jakąś postać niewieściami, zapewne Madonnę, spotkał szczęśliwszy los. Widząc, co się dzieje, nie pytając nikogo, zaprosiłem malarza A. Kościelniaka. Bez wahania, nie licząc na jakieś olśniewające wynagrodzenie, zjawił się natychmiast z kolegą. Wdrapali się obaj na murek. Centymetr za centymetrem w skali 1:1, całe pęknięte już w poprzek malowidło przerysowali i zgodnie z oryginałem pokolorowali.

Tym razem także - trzeba przyznać - zadziałały i czynniki. Starannie wycięty i spięty żelaznymi obręczami, umocniony podlewą cementową prostokąt muru odstawiono dla dalszych zabiegów do którejś z pracowni konserwatorskich.

Po jakimś czasie blok z Madonną zjawił się w jednej z kamieniczek muzealnych.

Różnych takich i innych odkryć dokonywano często przez cały okres odbudowy Starego Miasta. Zawsze o nich jakoś powiadamiano Muzeum. Nawiązanie podczas wiechowego dobrych stosunków z bracią budowlaną Starówki – dawało w tym zakresie cenne rezultaty.

Ktoregoś dnia przyczłapał z Pivnej pomocnik murarski przynosząc parę staroświeckiego kształtu, starannie zakorkowanych i zalakowanych butelek z ciemnego piwnego szkła. Jedna z nich została przypadkiem rozbita uderzeniem kilofa. Wewnątrz znajdowało się wiele doskonale zachowanych, starannie poskręcanych w zwitki papierków. Były to unikalne, cenne, drukowane lub sztychowane ręcznie ulotki, karteluski konspiracyjne, jakieś wiersze i pieśni oraz nekrologi z okresu srożących się w Warszawie prześladowań burzliwych lat 1861-1863.

Wydobywano często całe nieraz garnki i rynki gliniane, odłamki różnej ceramiki, malowanych kafli, flaszki. Trafiały się nieraz stare monety z czasów Wazów, Sasów i Stanisława Augusta. O złotych i srebrnych krążyły tylko legendy.

W pakownym dole, stanowiącym jakąś dolną część starodawnej baszty u ks. ks. Mazowieckich, wydobyto pewną ilość zdrowych w środku i twardych, a szczerniałych na heban belek dębowych. Próbowano, radząc się fachowców – „drewnoznawców”, po przetransportowaniu ich Pod Murzynka – jakoś je przechować i ostrożnie podsuszyć. Sądziłiśmy, że może przydadzą się do jakichś robót konserwatorskich...

Znajdowaną nieraz powstańczą broń, karabiny, pistolety, granaty, amunicję – zabezpieczała od razu powiadamiana o tym milicja.

Swoistego rodzaju sensację zasygnalizowano kiedyś z podziemi kamienicy rynkowej, w której mieści się dziś restauracja „Pod Bazyliżkiem”.

Zaintrygowani ruszyliśmy zaraz z aparatem fotograficznym. Przebrnąwszy rumowisko, zleźliśmy po drabinie w dół do oczyszczonych już częściowo piwnic. Prowadzący wskazuje jasno oświetlony zakątek. Zbliżyliśmy się w milczeniu. Na zwykłym krześle wiedeńskim siedzą zwłoki mężczyzny w ciemnym, zasypanym pyłem ubraniu. Postawa swobodna wyraża jakby tylko zmęczenie. Rysów twarzy już nie ma! Spod czoła pozbawionej włosów czaszki obojętnie patrzą puste oczodoły. Jeszcze jedna nieszczęsna ofiara sierpnia 1944 roku. Zmęczony czy wyczerpany przysiadł sobie na przypadkowo znalezionym krzeselku i wtedy akurat zrzucona z samolotu bomba rozorała aż do fundamentów całą kamieniczkę. Szczątki zatarasowały wyjścia. Tylko ten kąt ocalał. Z wierzchu chroniły grube mury i schodzące się tu właśnie ponad nimi łuki sklepień. Może umarł zaraz na serce lub z wyczerpania?

Podobno był mieszkańcem Starego Miasta i właścicielem sklepu z kapeluszami na Pivnej.

W majowym numerze 1946 roku „Skarpy Warszawskiej” ukazał się interesujący artykuł profesora Morelowskiego o mało znanej, wielkiej (90 x 270) panoramie Warszawy, będącej własnością Starej Pinakoteki w Monachium. Obraz ten malowany olejno przez zapewne flamandzkiego mistrza Christiana

PRZEDMIOT POZORNIE BEZWARTOŚCIOWY MOŻE PRZYDAĆ SIĘ BARDZO MUZEUM

ZNALEZIONE W GRWZACH STARE SKORVPY GARNKÓW, SZKŁO, ZELASTWO, KAFLE ZWŁASZCZA ZDOBIONE, MONETY-NIE NISZCZ, ODŁOŻ NA BOK, PRZYNIEŚ LVB DĄJ ZNAĆ DO MUZEVM WAR SZAWY W KAMIENICY „POD MVRZYNKIEM”

Pod gruzami Starego Miasta
cenne zabytki przeszłości
odkryto, rekonstr. P.V.

Wśród nich stare naczynia
ceramiczne, szkło i żelazne,
kuchenne, artystyczne
i inne przedmioty



4. Afisz z apelem do budowniczych Starego Miasta, 1950 r.



5. Fotografowanie kopii obrazu z panoramą Warszawy Christiana Melicha na dziedzińcu kamienicy Schlichtingowskiej, 1950 r.



6. Redukcja statui króla Zygmunta III na tle cokołu kolumny, 1950 r.

Melicha - stanowił podarek wyprawny królowej Anny-Katarzyny, córki Zygmunta III Wazy, wydanej w 1641 roku za księcia Dwóch Mostów.

Chęć posiadania tak cennego eksponatu poczęła nurtować pracowników Muzeum Warszawy.

Okoliczności zdawały się nam sprzyjać. W końcu 1949 roku zahaczył o Warszawę kpt. Czesław Stefański z ówczesnej Polskiej Misji Wojskowej w Niemczech.

Spotkaliśmy się, a przy kawie zgadało się i o monachijskiej panoramie. Kapitan zapalił się do współdziałania.

Stało na solennej obietnicy, że zaraz po powrocie do Berlina kapitan przeprowadzi wywiad. Wkrótce nadeszła wiadomość, że obraz jest, ale zdobycie samego oryginału jest niemożliwe. Kapitan proponuje sprowadzić dobrą kopię. I to zresztą wymagać będzie pewnych dyplomatycznych zabiegów i niewyjawiania, że kopię zamawia Warszawa.

Po naradach postanowiliśmy propozycję przyjąć. Umolestowany prezydent Tołwiński przekonał z kolei dyrektora finansowego i potrzebna kwota (250 000 zł) została przyznana.

Niezawodny Stefański zaczął energicznie działać, wykorzystując stosunki naszej Misji Wojskowej. Zamówiono w Monachium kopię. Kopistę - najlepszego w osobie artysty malarza Henryka Kroppa - wyznaczył sam dyrektor Pinakoteki. Kopia miała ściśle odpowiadać wymiarom oryginału z zachowaniem wszystkich cech, barw, faktury i najdrobniejszych detali.

Po kilku miesiącach - wiosną 1950 roku - dzieło było gotowe i po komisyjnym przyjęciu przybyło wraz z pocztą dyplomatyczną do Warszawy!

Cieszyliśmy się wszyscy... Wieść o zdobyczy rozeszła się szybko. Nastąpiły liczne odwiedziny znawców. Kiwano głowami, mrużano, wygłaszano rozmaite opinie. Obraz zresztą przydał się przy odbudowie. W szeregu wypadków pozwolił rozwiązać nasuwające się znaki zapytania czy niepewności, nasunął pomysły twórcze.

Kolumna, jeden z pierwszych (najpierwszym stała się niespodziewanie „Gruba Kaśka” z Tłomackiego), najcenniejszych i najcharakterystyczniejszych zabytków Warszawy odbudowanych w tym czasie - stanowiła jakby widomy symbol decyzji przywrócenia Stolicy jej historycznych zabytków.

Postaraliśmy się wykorzystać fakt znalezienia się w 1949 r. posągu w pracowni brązowniczej braci Łopieńskich przy ul. Hożej dla przeprowadzenia generalnego remontu, dokonania niezbędnych rekonstrukcji uszkodzonych lub zaginionych części.

Muszę tu dodać, że przez pewien czas przechowywałem jeszcze na Marszałkowskiej odnaleziony u prezydenta Tołwińskiego za szafą miecz Zygmunowski. Z tryumfem dostarczony on został nie spodziewającym się tego rekonstruktorom. Zanim to nastąpiło zdążyli jednak pracownicy Archiwum i Muzeum nacieszyć się bezpośrednim zetknięciem się z tym histo-

rycznym a pięknym dziełem, trzeba jeszcze dodać, odpowiednio ciężkim, które dopiero natężonym wysiłkiem obu rąk można było jako tako unieść...

Wykorzystując więc okazję tak bliskiego kontaktu z podziwianą zawsze z dołu, na tle obłoków, sylwetą – postanowiono dokonać gipsowego odlewu całości posągu.

Jednym z motywów przedsięwzięcia była chęć posiadania wiernej repliki rzeźby. Zwłaszcza że zrobiona przed laty przez Marconiego kopia nie posiadała prawie żadnych wartości ani dokumentarnych, ani artystycznych.

Inicjatywa Muzeum zyskała uznanie i najżyczliwsze poparcie, zaś minister Golański bez większych ceregieli przyznał chętnie potrzebne kredyty.

Niestety, wykonanie całego odlewu okazało się zbyt skomplikowane i trudne. Nie można było poza tym hamować terminowych prac modelarzy-brązowników Łopieńskich.

Toteż ograniczono się, oczywiście po wielu naradach, do wykonania negatywów i pozytywów przede wszystkim z popiersia oraz z niektórych fragmentów bogatych detali posągu (ręka, hełm, figuralne obramienia płaszcza).

Zlecone odlewy doskonale i starannie wykonał zakład sztukatorski St. i J. Jankowskich. Mieścił się on wtedy przy niby drodze, niby grobli – szumnie zwanej ulicą Statkowskiego – w jakiejś chacie i szopach, wśród łąk i rozlewisk jeziora Czerniakowskiego.

Odbiór dzieła mistrzów Jankowskich nastąpił wśród dobranej słonecznej pogody, po czym wynajętą furką, pieczołowicie wymoszczoną słomą, wzięliśmy cenną zdobycz na dalekie Stare Miasto. Za radą prof. Lorentza – wykonanie rzeźbiarskiej redukcji całego posągu (1: 5) zlecono art. rzeźbiarzowi p. Romanowi Łukjanowowi.

Pan Roman – wytworny, kulturalny – mieszkał wtedy przy ul. Mokotowskiej. Okna czy balkon jego mieszkania wychodziły na zalany słońcem ogród posesji ciągnących się i wychodzących swymi pałacykowatymi frontami na al. Ujazdowskie. Sympatyczny gospodarz gościnnie przyjmujący gości przy znakomitej kawie i jakiejś niemniej znakomitej nalewce, chętnie, choć z pewnym zażenowaniem, zgodził się na wykonanie zlecenia.

Trzeba przyznać, zabrał się do pracy z wielkim zapałem i w pocie czoła, z nadzwyczajną precyzją oraz artyzmem, w ciągu paru tygodni wymodelował w glinie całą figurę. Pracę swą prowadził w hali warsztatowej Łopieńskich w warunkach trudnych, przy kiepskim oświetleniu, w upale, mimo przeszkód wynikających z prowadzonych jednocześnie zabiegów restauracyjnych wokół posągu.

Z humorem narzekał, że po pracy, w domu, gdy małżonka podawała mu na przykład lane kluski na mleku, widział w nich arabski pokrywający płaszcz królewski. Potem kluski te przypominały mu się podczas modelowania i jakoś dziwnie arabski płaszczowe poczynały ruszać się przed oczyma... i w żołądku!

W każdym bądź razie praca jego przyjęta została przez komisję złożoną z Żaryna, Szwankowskiego, rzeźbiarza Aleksandra Żurakowskiego i innych bez zastrzeżeń, owszem, z najwyższym uznaniem dla precyzji i skrupulatności wykonania (liczono nawet i mierzono owe „arabeski”, porównywano wyraz twarzy oryginału i redukcji etc).

„Małego” Zygmunta z nabożeństwem odtransportowano w ramionach pracownika Muzeum Tadeusza Skulskiego z Hożej na Stare Miasto.

Szaber, szabrować! Jakże to w pierwszych po wyzwoleniu latach znane i popularne słowa!

Na szaber puszczały się nieraz, co prawda za wiedzą władz, i pracownicy staromiejskiego muzeum.

Z takiego szabru pochodzi przepyszna krata drzwiowa wykupiona w roku 1853 od starozakonnego właściciela kamieniczki Rynkowej nr 51 zwanej Kurowskiego – przez zasłużonego zbieracza, uczonego i twórcę warszawskiej biblioteki – Aleksandra Przeździeckiego.

Ślusarskie arcydzieło z 1757 roku wraz z innymi zabytkami staromiejskiego zdobnictwa (kraty, balustrady gankowe, latarnia podwórzowa, filary kamienne) umieszczone zostało przez nabywcę w nie istniejącym już dziś, niewielkim pałacyku przy dawnym placu Bankowym, róg Senatorskiej i nieistniejącej już Rymarskiej.

Przy pomocy ożywionego miłością do zabytków warszawskich, pełnego energii inżyniera architekta Feliksa Kanclerza, działającego w latach 1945-1947 w trudnej dziedzinie ratowania ocalałych zabytków – wydobyto troskliwie wszystko z ruin pałacyku i starannie odstawiono na Stare Miasto. Dziś krata ta wmurowana została na swe dawne miejsce, przy wejściu na wewnętrzną klatkę schodową.

Muszę wyjaśnić, iż mimo posiadania formalnej nominacji na dyrektora – organizatora muzeum, nadal pełniłem dotychczasowe funkcje w Archiwum. Rozszerzył się zasięg, rodzaj i suma mej pracy. Główną mą kwaterą był nadal gabinet na Marszałkowskiej. Gromadziliśmy tam pierwsze nasze zbiory muzealne, tam radziliśmy, snuliśmy wspólnie z kolegami archiwiastami pomysły i plany poświęcone przeciw jednej i tej samej sprawie.

Coraz trudniej jednak było dawać sobie rady z narastającą jak lawina masą roboty. Trudno było absorbować na co dzień muzealnymi sprawami zapracowanych archiwiistów, dobrałem więc sobie do pomocy eks-łączniczkę naszego dowódcy „Konara”, „Muchę”, alias Jadwigę Muszyńską, która po powrocie z niewoli dotąd nie była nigdzie jeszcze zatrudniona. Drugim współtowarzyszem pracy miał stać się mgr Waclaw Zienkiewicz, znany mi sprzed wojny a potem z prac w Archiwum podczas okupacji. Wszystkie ówczesne nasze zajęcia i szarpanina między nieustannymi, niezliczonymi

zebraniami, naradami, pisaniną planów, programów, budżetów, zabiegami organizacyjnymi samej odbudowy, a raczej budowy już nie trzech, lecz 8 kamieniczek wraz z ich przyległościami i oficynami – wymagały nie lada wyężonego wysiłku i bezkompromisowego poświęcenia. [...]

Po tej kolejnej dygresji wracam do przerwanej szabrowego wątku.

Nie pamiętam już, jakimi drogami dowiedzieliśmy się w Archiwum, że jakiś ówczesny urząd czy wydział „mienia opuszczonego” ma likwidować magazyny dawnej warszawskiej firmy składowo-spedycyjnej Wróblewskich przy ulicy Inżynierskiej na Pradze. Masy znajdujących się tam jakichś papierów i mebli przeznaczone są bądź na sprzedaż przez licytację, bądź po prostu na przemiał lub szmelc.

Nagabnięty prezydent Strzelecki radził, by się tam udać szybko i na miejscu zapoznać z sytuacją. Po otrzymaniu więc odpowiedniego urzędowego zezwolenia i upoważnienia do zatrzymania wszystkiego, co będziemy uważali za stosowne – wybraliśmy się z Bachulskim na pierwszy rekonesans.

Okazało się, że ocalałe tam ogromne magazyny mieszczące się w solidnej, paropiętrowej oficynie dosłownie zawałone były olbrzymią wprost masą co prawda przemieszanych już i pouszkodzanych „różności”. Czegoż tam nie było. Kufry, kosze, skrzynie i bezładne stosy różnych papierów, meble, fortepiany, obrazy, składowane w ciągu dobrych kilkudziesięciu lat, jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej.

Świadczyły o tym ikony i utensylia cerkiewne pozostawiane przez ewakuujących się z Warszawy w 1915 roku popów warszawskich.

Przy całkowitym desinteressement dozoru magazynów rozpoczęły się natychmiast trwające długie tygodnie prace wśród tumanów kurzu, brudu, wilgoci i zimna.

Trójka archiwistów przeglądała skrupulatnie masy papierów wylawiając spośród nich wiele cennych akt, dokumentów, listów, druków, afiszy, programów, fotografii etc.

My zaś, muzealnicy, sporo różnych antyków, mebli, obrazów, sztychów, ilustracji, kilkanaście przepysznych starych zegarów, parę koszy całej lub poobtlukiwanej porcelany z Korca, Miśni, Sevres. Zabieraliśmy nawet kawałki połamanych mebli ze szlachetnych gatunków drzewa. Sądziliśmy, że mogą się przydać do jakichś przyszłych, konserwatorskich majsterkowań.

Gdzieś za jakimiś stosami rupieci znaleźliśmy dziwne jakieś ni to miski, ni to pokrywy fajansowe pokryte subtelnymi, kolorowymi ornamentami chińskimi. Okazało się, że są to pokrywy od wielkich wazonów z należącego do Zamoyskich pałacu w Kozłowie. Same wazy posiadało już Muzeum Narodowe, toteż natychmiast przekazaliśmy tam pokrywy ku wielkiej oczywiście satysfakcji dyrektora Lorentza.

Fragmenty „szabru” na Inżynierskiej zostały sfotografowane przez Jerzego Szyborskiego i stanowią wymowną ilustrację tej ciekawej roboty.

Nawiasem wspomnę, że bodaj już w 1946 roku mieliśmy ni mniej ni więcej może ciekawą, choć krócej trwającą imprezę w Muzeum Wojska, gdy to za zezwoleniem ówczesnego dyr. płk. Szacherskiego mogliśmy przejrzeć akurat porządkowane wtedy składy muzealne, w których znajdowały się resztki wyposażenia i zbiorów Muzeum Belwederskiego. Wybraliśmy tam nieco różnych dokumentów, ozdobnych tek lub futełałów z laurów nadsyłanych marszałkowi Piłsudskiemu z racji różnych imieninowych okazji.

Odbudowanego Murzynka trzeba było ogrzać. Brak było kotłowni centralnego ogrzewania, a nade wszystko nieosiągalnych wtedy właśnie kotłów. Pomogła jednak opuszczona siedziba Archiwum Miejskiego, stary Arsenał. Doskonale zachowane w zrujnowanym i wypalonym gmachu kotły wraz z niewyszabrowanymi jeszcze armaturami zostały zdobyte za zgodą Zarządu Miejskiego dla Murzynka. Pasowały „jak ulał”.

Wiele poważnych, pierwszoplanowych trosk przysparzało zagadnienie przyszłych eksponatów muzealnych.

Ogrom zniszczeń i strat kulturalnych, brak jakiegś orientacyjnej nawet ewidencji ocalałych zabytków, dzieł sztuki, niedostatek doświadczeń, a jednocześnie pionierski, gorączkowy, wielozagadnieniowy charakter pracy wśród ruin – wszystko to razem stwarzało sytuację niepowtarzalną, jedyną w swoim rodzaju, dziś już raczej zapomnianą lub nawet wprost niezrozumiałą.

Budując trzeba było myśleć o wypełnieniu przyszłych wnętrz muzealnych. Wobec niepewnych bardzo możliwości zgromadzenia ewentualnie ocalałych oryginałów i to w jakiegś wystarczającej ilości – trzeba było pomyśleć o eksponatach zastępczych.

Stąd próby zamawiania u żyjących jeszcze, starszych malarzy warszawskich obrazów, ściągnięcie kopii monachijskiej, próby zaprojektowania i stworzenia różnych makiet, modeli itp.

Wśród form naszych eksperymentów wymienię jeszcze takie, jak specjalnie opracowane w oparciu o konsultacje prof. Al. Gieysztora, St. Herbsta i Eug. Szwankowskiego plany z rozwojowe Warszawy. Wykonywane były na podkładzie tzw. „ślepych” planów przedwojennej Warszawy, na które rysowano kolorowo wyglądy (łasy, drogi, ulice, wody, mury, budowle) – 1. terenu Warszawy przed powstaniem miasta (J. Muszyńska), 2. Starej Warszawy w obrębie murów i wreszcie 3. XVII-wiecznej. Zwróciliśmy też uwagę na ocalałe zamkowe, a przechowywane w Muzeum Narodowym, obrazy Canaletta. Postanowiliśmy zaczerpnąć z nich czy raczej wydobyć poszczególne fragmenty ilustrujące różne sceny z codziennego, ulicznego życia stanisławowskiej Warszawy. Wybrane fragmenty obfotografowywał p. K. Pęcherski, dostarczając nam odbitek i ciekawych charakterystycznych powiększeń. Dodam tu z satysfakcją, że obecnie robi się to niemal masowo, bez przeszkód. Wykorzystywane są one z wielkim aplauzem, wtedy jednak próby nasze spotkały się niemal z zarzutem... profanacji.

Wreszcie na podstawie dawnych, oryginalnych rysunków czy obrazów – zapoczątkowaliśmy dla, jak się to dziś mawia, „zbliżenia” współczesnemu widzowi, projektowanie i wykonywanie wiernych figurek przedstawianych przez dawnych artystów postaci. Tak np. zostały wykonane Norblinowskie typy „nocnych dozorców staromiejskich” oraz „przekupka sprzedająca flaki pod kolumną Zygmuntofską”.

Na warsztat też poszedł jako pierwszy model renesansowego, staromiejskiego ratusza. Opracowania tematu, przygotowania projektu i rysunków roboczych podjął się inżynier architekt prof. Antoni Karczewski.

Inżynier Karczewski, współpracownik zasłużonego badacza i przedwojennego konserwatora zabytków Warszawy Tymoteusza Sawickiego, mieszkał w Milanówku. Posiadał przebogate zbiory, rezultaty długoletnich, mrówczych studiów w warszawskich archiwach i muzeach, w postaci olbrzymiej ilości własnych notatek, odpisów, odrysów, fotografii utraconych w latach 1939-1945 oryginałów.

Zaraz po zainstalowaniu się Archiwum Miejskiego na Marszałkowskiej pojawił się u nas. Nawiązały się od razu przyjacielskie, pełne wzajemnego zaufania stosunki.

Pomysł „ratuszowy” przyjął z najwyższym zainteresowaniem i zaraz zabrał się do pracy, wyciągając spośród swych szpargałów pierwsze materiały.

Z trzech historycznych faz ratuszowych: gotyckiej, renesansowej i osiemnastowiecznej – ponieważ nie posiadaliśmy żadnych danych o pierwszej – wybraliśmy zgodnie drugą.

Znaleziony odrys planu przekroju poziomego przyziemia pozwolił na dokładne określenie wymiarów i planu budowli z zarysem narożnych wież czy baszt.

Potwierdziłyby to rozkopki na Rynku. Były bowiem przekonywujące dane, że tkwiły tam dawne ratuszowe fundamenty. Niestety do badań takich nie doszło.

Wiele światła dorzucił wszakże siedemnastowieczny drzeworyt z dziełka księdza Sebastiana Stawickiego pod długim, barokowym tytułem: „Łódka Kościoła Chrystusowego In stemmaticam Sirenam nobilis Magistratus Varsaviensis” wydanej drukiem w 1662 r. z racji fundacji klasztoru i kościoła oo. Paulinów na Freta.

Dorzuciły wiadomości inne zapisy i teksty, dały coś niecoś studia porównawcze innych ratuszów w Polsce. Praca prof. Karczewskiego nabrała wkrótce ostatecznego kształtu i formy.

Po kilku miesiącach wykonany niezmiernie solidnie, z trwałych, dobrych przez inż. Jana Christa z Krakowa materiałów ratusz renesansowy miasta starej Warszawy – ozdobił sale wystawowe muzeum.

Wkrótce zrodziły się i u samych twórców pewne uzasadnione wątpliwości. Sam projektant nie był też w głębi swej rzetelnej duszy zadowolony. Niepokoila go zwłaszcza „szumna” ratuszowa wieżyca.

Wątpliwości nabrały cech realnych po przestudiowaniu kopii monachijskiej panoramy. Porównując wtedy zarys ratuszowej budowli z siedemnastowiecznymi sztychami Dahlberga, można dopiero byłoby spróbować wierniejszego uchwycenia charakteru i bardziej strzelistego kształtu sylwety wieżowej.

Były już nawet przygotowane nowe rysunki i projekt – do realizacji poprawek jednak nie doszło!

Nie mogąc zaryzykować odtworzenia kształtu gotyckiej budowli wykonano za to model ratusza w jego ostatniej, osiemnastowiecznej postaci.

Projekty wykonanego już w Warszawie modelu opracował starannie, wiernie i ze znanstwem inżynier Stanisław Żaryn.

Spośród innych prób może należałoby wspomnieć makietę placu Zamkowego z końca stycznia 1945 roku. Miała ona przypominać wygląd placu właśnie w postaci, w jakiej w dniu wyzwolenia przejęliśmy go z rąk hitlerowskich niszczycieli.

Dzieło to nad wyraz wiernie w oparciu o własne notatki, rysunki i fotografie wykonał dla muzeum artysta plastyk z Żoliborza – Adam Siemaszko.

Wielce oryginalnym był też eksponat... „ropuchy”, to jest model pierwszego warszawskiego tramwaju konnego. Wykonali go utalentowani pracownicy warsztatów MZK pod kierunkiem inż. Wacława Danielewicza, który na podstawie rysunku W. Gersona wyliczył detale i opracował całość.

Do wykonania, mimo usilnie zbieranych materiałów, mostu na Wiśle Anny Jagiellonki – na razie nie doszło! Powstał on dopiero po kilku latach. Również nie zrealizowano opracowywanego już projektu odtworzenia biegu nie istniejącej od dawna rzeczki Drny wraz ze znajdującymi się nad nią foluszami, blicharniami, młynami...

Tworzące się muzeum starało się pozyskać dla swych przyszłych zbiorów obrazów możliwie wszystkich charakterystycznych, żyjących malarzy warszawskich. Kazimierz Lasocki był wybitnym, arcywarszawskim przedstawicielem schodzącej już z pola malarii syreniego grodu. Znów więc nawiązano rozmowy, tym razem u popularnego w latach 1947-1951 Marca na pl. Trzech Krzyży.

Rozmowy przeniosły się do pracowni Lasockiego przy ulicy Wiejskiej i tam toczyły dalej. Propozycję namalowania obrazu dla muzeum mistrz przyjął z aprobatą, potrzebował akurat gotówki. Temat „Krowy” na jakimś charakterystycznym warszawskim tle. Były i inne pomysły. Lasocki, mimo iż przypisywano mu wyłącznie „krowiarstwo”, czasem z irytacją burczał, że potrafi doskonale malować i inne tematy. Chociaż pasając kiedyś pod Warszawą krowy, przekonał się, że to bardzo ciekawe, godne uwagi stworzenia! Kiedyś namalował też olbrzymi portret przedstawiający w całej okazałości słynną Kazimierę Niewiarowską. Muszę tu dodać, że dane mi było przypadkiem oglądać ten wielki obraz. Faktycznie imponował i swymi wymiarami (od sufitu – do podłogi), i bujnym bogactwem anatomii świetnej artystki operetki

warszawskiej. Wisiał zaś sobie pod rozsuwaną, karmazynową, aksamitną kotarą naprzeciw łóż małżeńskich w sypialni znanego adwokata.

Tymczasem stanęło jednak na rogaciźnie. Tematem obrazu miały być woły ukraińskie pędzone przez całą szerokość warszawskiego wylotu starego Kierbedzia ku rzeźni na Solcu.

W 1949 roku obraz był gotów. Starannie przez artystę powerniksowany zawisał w jednej z pierwszych sal muzeum.

Za wypłacone honorarium sprawił sobie mistrz imponujący kozuch barani, którym pysznił się przemierzając ulice Warszawy.

Starszy pan Tadeusz Cieślewski jakoś w tym samym mniej więcej czasie schronił się w odbudowanej na dom akademicki przez Kraków Dziekance na Krakowskim Przedmieściu. W tym rozbrzęczanym ulu, „kozim ulu” – jak mawiał – cierpiał, lecz mieszkał i pracował. Często wymykał się z farbami i pędzlami na miasto, najczęściej w ruiny ukochanej Starówki. Malował akwarelę obrysowane piórkiem kontury, malował też w refektarzu kościoła Św. Anny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Dla muzeum próbował, niestety bez większego sukcesu, skomponować sylwetę panoramy przedwojennego Starego Miasta.

Podczas którejś tam z rzędu bytności w Krakowie, wracając z odwiedzin domostwa Kossaków, gdzieś na Plantach zahaczyłem ruchliwego pana o zwracającym uwagę oryginalnym, jakby findesiekłowym wyglądzie i zachowaniu. Był to oczywiście emigrant warszawski, Antoni Uniechowski. Strudzeni wędrówką zasiedliśmy zgodnie gdzieś by – jak nie u Noworolskiego pod arkadami Sukiennic. Rozmowa potoczyła się eksplodująco i barwnie. Uniechowski mówił, szeptał, śmiał się... i w zamian tego fruwały serwetki.

Tak, bibułkowe serwetki, rozrzutnie czerpane ku przerażeniu dostojnych kelnerów, błyskawicznie pokrywane rysunkami i ilustrującymi rozmowę szkicami...

Wspominkowe tematy, oczywiście warszawskie, były niewyczerpane. Artysta też. Wyczerpały się natomiast serwetki.

Rezultatem rozmowy stała się solenna obietnica „machnięcia” obrazu, obrazku, akwareli – tematem miała być pamiętna manifestacja z 1905 roku z udziałem Okrzei na placu Grzybowskim w Warszawie. Mistrz dotrzymał słowa. Obraz wkrótce dostarczony został do Warszawy.

Lasocki, Cieślewski, Uniechowski – nie wyczerpują wszystkich prowadzonych wtedy prób. Malowali czy dostarczali dla tworzącego się muzeum i inni znani wówczas malarze warszawscy. A więc przede wszystkim Jan Zamoyski. Uproszony namalował na podstawie starej, zatartej ryciny ciekawy obraz przedstawiający obchód 1 maja 1906 r. odbywający się na budowanej przy ul. Złotej kamienicy. Zaczny, serdecznie zaprzyjaźniony Jan sportretował mnie „na pamiątkę” wśród zgrupowanych (po prawej) robotników budowlanych.

Stefan Płużański wykonał na desce, po przestudiowaniu siedemnastowiecznych rycin, „powietrznego” burmistrza Starej Warszawy – Łukasza Drewno.

Krzysztof Henisz, nawiązując do frapujących go akurat pasów słuckich zaprezentował słynną czarną procesję z lat Sejmu Wielkiego, wyruszającą sprzed Ratusza na Rynek staromiejskim.

Wreszcie Kotowski spróbował przedstawić sepią Ludwika Waryńskiego przemawiającego w fabryce Lilpopa.

Odbudowa Murzynka była już wreszcie w 1949 roku ukończona. Pięknie stylizowane wnętrza, zaprojektowane przez inżyniera S. Żaryna – zapewniały pierwsze pomieszczenia tworzącemu się muzeum.

Można więc było w drugiej połowie tegoż roku opuścić gościnne, sublokatorskie pokoiki Archiwum Miejskiego, które wkrótce też zainstalowało się w pomieszczeniach wykańczanej jednocześnie oficyny Baryczkowskiej przy Krzywym Kole 7.

Roztasowywaliśmy się na własnym. Wokół jeszcze dzwoniły kielnie, zgrzytały piły, stukwały młoty – rozbrzmiewał kipiący gwar załóg budowlanych.

Parterową sklepioną izbę od frontu zajęła kancelaria, gabinet dyrektorski ulokował się w półciemnej izbie od dziedzińca. Pojawiły się pierwsze meble specjalnie zaprojektowane, a niezwykle starannie wykonane przez zakład braci Wrzesińskich, jak kiedyś w 1938 roku – dla Arsenau.

Typową staromiejską sień oświetlała oryginalna, dawna, hiszpańska latarnia ofiarowana przez zaprzyjaźnioną firmę braci Łopieńskich. Strzegł sieni wydobyty z gruzów marmurowy delfin, wyłowiony przed wojną z dna Wisły koło Cytadeli. Zgubiony został kiedyś wraz z innymi łupami przez Szwedów. Pochodził zaś z ozdobnej, ogrodowej fontanny dawnego pałacu Kazimierzowskiego.

Wygodne, kamienne, choć ciemne schody prowadziły z sieni na pierwsze piętro, zajęte przez dwie – na razie – własne sale wystawowe.

Schody prowadziły stromo aż do charakterystycznego świetlika – latarni.

Na drugim i trzecim piętrze mieściły się różne magazyny, pracownie, a wśród nich fotograficzna Czesława Czerwińskiego.

Najbardziej niewątpliwie uroczym miejscem Murzynka – była właśnie wieńcząca go pierwsza wtedy latarnia staromiejska. Wielkie, trójkami na dwie strony wychodzące okna wlewały w dni słoneczne istne potopy światła.

Od frontu posiadała latarnia wąski, zabezpieczony starą żelazną balustradą balkon, ciągnący się wzdłuż trzykrotnego frontu kamieniczki.

Najmilej było zasiąść sobie przy niskim stolyczku lub wprost na stopniu szeroko rozwartych drzwi balkonowych i gwarząc z gronem przyjaciół muzeum oraz miłośników Warszawy – popijać przygotowaną na miejscu lub przyniesioną w termosach kawę...

Otoczało nas wtedy wokół niebo. Czasem jasnoblękitne, czasem groźnie zasnuwane chmurami.

Zasiadało się tak najczęściej gdzieś przed wieczorem, gdy Rynek po ukończeniu robót pustoszał i cichł.

Uroczą cisza rozpoczynała dookoła swe rzeźwiące, słodkie panowanie. Przerywał ją tylko szczebiot śmigających tuż obok jaskółek.

Widok był przepyszny. Nic go jeszcze nie tamowało.

Wychyliwszy się nieco, nie patrząc bezpośrednio w dół – nie widziało się żadnych ruin. Wzrok leciał swobodnie poza raz szarą, raz połyskującą srebrzyście Wisłę – opierając się na skrajach horyzontu o ciemniejące smugi dalekich lasów.

Na naszej latarni można było wysiadywać godzinami napawając się, krzepiąc po całodziennej krzątaninie, rozgwarze i kłopotach, odprężającym, przywracającym siły spokojem.

Raz leniwo, kiedy indziej namiętnie toczyły się rozmowy o tym, co było, przeszło, zostało. Co jest, co i jak będzie.

Katedra dopiero wychodziła z parterów. Nic nie zasłaniało jeszcze odbudowanego Mariensztatu. Sterczał przed nim i nad nim przecinek kolumny Zygmunta. Piętrzyła się uratowana św. Anna, snuł się ciąg Krakowskiego Przedmieścia i dalszych dzielnic, zaakcentowany bezkopulastym jeszcze warszawskim Colosseum kościoła ewangelickiego.

Wyjrząwszy przez okno północne ujrzyć można było wstęgę Wisły i oazę Lasku Bielańskiego.

Czasem słychać było bijący na Anioł Pański samotny dzwon w ocalałej, dziś nie istniejącej dzwonnicy odległego stąd kościoła Św. Aleksandra.

Niechętnie, ociągając się schodziło się pięć pięter w dół, w coraz to ciemniejącą czeluść schodów...

W początkach kwietnia 1950 roku zaterkotał telefon w kancelarii muzeum. Pierwszy na Starym Mieście telefon, doprowadzony prowizorycznie nadpowietrznym kablem. Telefonowano zawiadamiając, że „tata” Tołwiński chce osobiście zobaczyć, co porabiamy i jak u nas wygląda. Przyjedzie wkrótce, może już za pół godziny!

Pół godziny co prawda wydłużyło się znacznie, ale przyjechali „tata” i pan Edward Strzelecki. Władza powitana została w sieni. Ostrzegłem obu prezydentów, że w muzeum jest jeszcze bardzo chłodno, toteż lepiej pozostać w paltach. Najpierw obejrzano frontową izbę kancelaryjną, gdzie pracowały panie Alina i Jadwiga, wstąpiono do sklepionego gabinetu dyrektora. Opowiedziałem tam o stanie robót, projektach i planach, zarówno budowlanych jak i muzealnych. Odbudowa postępuje naprzód powoli, jest mnóstwo przeszkód, wielką trudność sprawia sam charakter zabytkowych budowli i ich adaptacja dla celów muzealnych.

Powoli gromadzą się i eksponaty. Niektóre z nich stanowią przemysłane, eksperymentalne zapoczątkowanie całych przyszłych serii, makiet, modeli, obrazów przedstawiających różne wydarzenia z historii Warszawy. Dzięki pomocy Zarządu Miejskiego braków finansowych nie odczuwamy, za co serdecznie dziękujemy... Po takim wstępie powędrowaliśmy na pierwsze piętro obejrzyć pierwszą, symboliczną salę wystawową.



7. Gabinet dyr. A Słomczyńskiego w tylnej izbie parteru kamienicy Pod Murzynkiem, 1950 r.



8. Sala wystawowa na pierwszym piętrze kamienicy Pod Murzynkiem, 1950 r.



9. Wizyta prezydenta Stanisława Tołwińskiego i wice-prezydenta Edwarda Strzeleckiego w Muzeum, 1950 r. Pierwszy z lewej – kustosz Waław Zienkiewicz.

Obszerna czterookienna sala wyglądała już uroczyście i optymistycznie. Zapełniały ją stelaże i gabloty również projektu Żaryna powypełniane już różnymi staromiejskimi drobiazgami. Były też różne znaleziska, jakieś opalizujące butle, garnki gliniane i rynki, monety, odłamki ceramiki. Wydobyte z piwnicy na Piwnej, zamurowane tam przed laty w okresie lat 1861-1863 flaszki z różnymi ulotnymi pisemkami konspiracyjnymi, wreszcie fragmenty odlewów posągu Zygmunta z placu Zamkowego. Na ścianach wisiały obrazy, a wśród nich szesnastowieczny portret ostatnich książąt Mazowieckich, manifestacja na Grzybowie z Okrzeją, dzieło Uniechowskiego, obchód 1-ego Maja w 1906 roku na budowie przy ulicy Złotej pędzla Jana Zamoyskiego, sepia przedstawiająca Waryńskiego w fabrycznych warsztatach, różne kompozycje odtwarzające dawne wyglądy Rynku i jego kamieniczek.

Spośród makiet należy wymienić plac Zamkowy według stanu z początku 1945 roku, przekazany przez Muzeum Narodowe model Starego Miasta i piękny model staromiejskiego Ratusza w renesansowej szacie. Na postumencie stał sobie Zygmunt z kolumny, rzeźbiony przez Łukjanowa. Na jednej ze ścian zawisł tradycyjny wieniec ciesielski, pamiątka niedawnej uroczystości wiechowego. Na oknie wreszcie pysznił się stary, oryginalny zegar mistrza Gugenmusa z ul. Świętojańskiej - „pendularza JKM” - z niemniej oryginalnym na ozdobnej tarczy napisem: „Jedna z tych będzie dla mnie ostatnią”...

Czesław Czerwiński dokonał pamiątkowego zdjęcia, obejrzano jeszcze magazyn podręczny, pracownię fotograficzną oraz zajrzano na pierwsze piętro do Szlichtingów dla obejrzenia szczęśliwie ocalałych, oryginalnych, malowanych stropów drewnianych. Trzeba było się pożegnać - goście musieli wracać do swoich spraw. Chyba byli zadowoleni. Prezydent Tołwiński zauważył co prawda, że wolno to wszystko idzie, że jeszcze niewiele macie do pokazania... ale robotę już widać, czuje się myśl, widzi koncepcje. Z drugiej strony przecie tak niedawno nic tu jeszcze nie było. Pracujcie, będziemy pomagać. [...]

Pierwszym pracownikom nowej placówki też niewątpliwie należy się nieco pamięci.

Personel Muzeum zbierał się stopniowo począwszy od lipca, sierpnia 1947 roku. Jakieś spotkanie, „zgodanie się”, bądź w Archiwum, w BGK czy zgoła w którejś z ówczesnych kawiarenek...

Rozpoczynała się rozmowa; padały pytania: wolny czy wolna? Co robił dotąd, co umie? czy chciałby pracować w tworzącej się instytucji? czy potrafi, zechce się wciągnąć?

Pierwsza - jak już wspomniałem - stanęła do pomocy Jadwiga Muszyńska. Poznana w powstaniu 1944 roku podczas obrony Arsenału, zdyscyplinowana, dzielna, od razu z zapalem wzięła się do nowej, innej roboty. Zorganizowała i zajęła się sekretariatem muzeum. Prowadziła go i jego skomplikowane, nerwowe sprawy inteligentnie, sprawnie, z sensem przez najtrudniejsze lata 1947-1950. Żyła Rynkiem, Starówką, muzeum...

Władysław Zarukiewicz, były urzędnik Zarządu Miejskiego z Ratusza na pl. Teatralnym, za zgodą Archiwum objął odpowiedzialny dział rachunkowo-kasowy. Skromny i cichy, zacny, pracowity.

Alina Świerczyńska, bardzo młoda, uśmiechnięta, pierwsza pracowniczka tworzącej się kancelarii. Chętnie poduczyla się wszystkiego, co trzeba, pracowała wytrwale i po koleżeńsku.

Czesław Czerwiński, młody magister, historyk, miał zająć się z urzędu i przydziału zbiorami. Wsiąkł zaś *con amore* w fotografię, zorganizował laboratorium, ciemnię, zdobył przyrządy, aparaty, powiększalnik. Przytykał, wywoływał, kopiował, reprodukował...

Tadeusz Skulski parął się ciężkim działem intendenckim. Szarpał się, stale czymś zaaferowany, wśród zaskakujących trudności, a zdarzało się, że obok nich! Zawsze jednak miał jak najlepsze chęci. Miły humor nie opuszczał Tadeuszka imającemu się nawet najcięższej roboty...

Helena Wrona, Łowiczanka ze Sromowa, wdowa po zamordowanym partyzancie Stašku - pierwsza woźna muzealna. Cicha, pracowita jak mrówka. Idealnie sprzątała, szorowała i bohatercko usiłowała dobierać spośród skrzyń, zwiezionych z Inżynierskiej, jakie takie całości porcelanowych naczyń.

Woźny Starnawski - stary, schorowany - robił co mógł w trudnych pionierskich warunkach i okolicznościach.

Palacz Władysław Rembas parął się ślusarką i kotłownią. Zasłynął jako zapalony rybak, ku czemu pociągała go nałogowo zbyt bliska Wisła!

Poza tym był to ojciec pierwszego po wyzwoleniu Warszawy syna, zrodzonego na Starówce w świeżo właśnie odbudowanej oficynie archiwalno-muzealnej na Krzywym Kole 7.

Był jeszcze uczeń Janek Świdzki, entuzjasta fotografiki, który bezinteresownie i z zapalem przyplątał się do budującego się na Rynku muzeum. Pomagał, asystował, fotografował, doszedł jakoś do własnego aparatu. Począł niejednokrotnie górować nawet inicjatywą, rzutkością, zwinnością nad swym mistrzem Czerwińskim. Był na każde zawołanie, dźwigał ciężary, sprzątał i fotografował (dobrze!).

Warto też wspomnieć i brata Muszyńskiej - Tadeusza, wtedy studenta Politechniki Warszawskiej. Zasłynął jako pełen inwencji, precyzji i staranności... stolarz! Wzięty na przymusowe roboty do Niemiec trafił tam do solidnego warsztatu stolarskiego i wyuczył się znakomicie tego szlachetnego rzemiosła. Z pasją i oddaniem przerabiał, remontował różne stare graty, wymieniał spróchniałe czy stoczone przez robaki, uszkodzone partie, dobierał w zamian kawałki. Naprawiał ze smakiem antyki z Inżynierskiej - gospodarzył zresztą bezinteresownie, uczciwie wśród zwiezionych stamtąd całych i uszkodzonych palisandrów, jesionów, dębów, mahoni.

Pomagał jak mógł zwłaszcza w zakresie fotografii i inżynier agronom Jerzy Szyborski, pracownik Archiwum, rozmiłowany w sztuce i warszaw-



10. Pracownicy Muzeum - od lewej: Alina Świerczyńska, Jadwiga Muszyńska i Tadeusz Skulski, 1950 r.

skich zabytkach, autor ostatniej panoramy Warszawy, zdjętej z wieży ratuszowej na pl. Teatralnym w 1940 roku.



11. Narada robocza przed kamienicą pod Murzynkiem - od lewej: Aleksander Król (inspektor nadzoru), Stanisław Żaryn (projektant), Jerzy Siennicki (kierownik budowy), Waław Zienkiewicz (kustosz Muzeum) i Tadeusz Skulski (intendent Muzeum), 24 V 1949 r.

Nie pamiętam już dobrze, kiedy poznałam inż. Stanisława Żaryna. Zapewne jednak dopiero w czasie prowadzonej przezeń odbudowy kolumny Zygmunta. Wkrótce czy właśnie w tym samym czasie coraz bardziej koniecznym stawało się, aby kierownictwo i prowadzenie nie tylko samych robót zabezpieczających nasze muzealne kamieniczki, lecz w ogóle opracowanie planów i koncepcji właściwej odbudowy oraz adaptacji - spoczęło w jednych rękach. Wtedy zadanie to powierzono właśnie panu Stanisławowi.

Odtąd w codziennych spotkaniach w „pakamerze” u Murzynka, w mieszkaniu inżyniera na Mokotowie bądź wreszcie doraźnie w różnych błogosławionych ówczesnych warszawskich kawiarenkach prowadziliśmy długie rozmowy w pełnej wzajemnego zaufania i doprawdy przyjacielskiej atmosferze. A było o czym mówić. Badanie i zapoznawanie się z sytuacją, snucie wszelkich planów.

A „wszystko” to – przecież stanowiło wtedy jakąś wspólną naszą pionierską, jakże skomplikowaną robotę.

Wszędzie wyskakiwały, mnożyły się komplikacje, kłopoty. Blizsze badania pozornie dobrze stojących murów wykazywały znaczne uszkodzenia, zmurzałość, zawilgocenie. „Dobrze” stojąca działowa ściana Murzynka poczęła się niepokojąco wyrzyszczać. Okazało się, że zalega poza nią syпки gruz, sięgający wyższych pięter i osypujący się w dół. Dużo kłopotów nastęrczały podziemia. Rozciągały się one także i pod dziedzińczykami, posiadały różne wejścia i przejścia, a nawet po dwie sięgające w głąb kondygnacje. Wszystko było tęgo zaśmiecone i silnie zwłaszcza zawilgocone, stwarzając grube – na dnie – gnijące złoża. Pod oficyną Baryczkowską przy odsłanianiu fundamentów, natrafiono na niemal płynne błoto. Snuto różne domysły.

A nuż to jakieś reminiscencje przedwiecznego Dunaju?

Co dzień pan Stanisław ślęczał na miejscu budowy, badał odkrywki, radził się swych wysokich patronów, wydawał nowe decyzje, dostosowując je do zaskakujących odkryć.

Wielce ciekawe były tam nieraz sytuacje. Nie ma o nich pojęcia budowniczy, stawiający obecnie od nowa nawet najbardziej okazały „wysokościowiec”. Tu przecie trzeba było stale a pilnie liczyć się z zabytkowym charakterem staromiejskich, powiedzmy otwarcie szacownych, ale ruder. Wypada zaś dodać, że staromiejskie „budowania” nie były zbyt solidne. Stały. Wyglądały owszem – godnie, lecz od środka przedstawiały się tandetnie.

Inżynier Żaryn dzielnie, powoli, łagodnie pokonywał wszelkie trudności. Współpracowałem z nim, jak mogłem, zwłaszcza w dziedzinie organizacyjnej, wydobywaniu kredytów, stale brakujących materiałów budowlanych. Pomagał mi w tym niewątpliwie mój przedwojenny (oraz okupacyjny) staż w restaurowanym i budowanym Arsenale pod wytrawnym (i pedagogicznym) kierownictwem inż. Brunona Zborowskiego i wielu doświadczonych a szczerze zaprzyjaźnionych inżynierów Wydziału Technicznego.

Inż. Żaryn czuł, rozumiał, kochał swą pracę, pasjonował się. Żył nią! Dobrze się nam pracowało. Jeśli skarżył się przepojony nieraz goryczą lub wprost nieludzkim zmęczeniem – to czynił to raczej „w cztery oczy”. Zajmowało nas, absorbowało wszystko, nie tylko sama surowa odbudowa. Trzeba było projektować nie tylko funkcjonalne „ciągi komunikacyjne”, lecz i mnóstwo najprzeróżniejszych detali. Okładziny drewniane, schody, balustrady, futryny, drzwi, kraty, kamieniarke, sprzęty czy meble.

Nieraz pan Stanisław uśmiechając się jakoś smętnie mawiał: „Posiedźmy sobie chwilę n i c nie mówiąc”. I siedzieliśmy chwilę, pod niebem na naszej murzynkowskiej latarni, by zaraz wrócić do pasjonującego, niewyczerpanego nigdy tematu.

Za trudno byłoby mi wymieniać tych wszystkich twórców naszego nowego Starego Miasta. Wszystkich z licznej załogi budowlanej Starówki,

robotników, murarzy, cieśli, blacharzy, kamieniarzy, majstrów i inżynierów. Próchnickiego, Vogtmana, Siennickiego, Radwańskiego, Piaseckiego, Olszewskiego, Kuźmę, Podlewskiego i wielu, wielu innych, wspomnę tylko jeszcze inżyniera architekta Jegomości Aleksandra Króla.

Pan Aleksander, niespożytego wigoru entuzjasta, donośnie głośny na całym Starym Mieście, jak długie ono wraz z Nowym Miastem i szerokie – najmilszy stentor, gawędziarz i harcerz Starówki – wszędzie i zawsze obecny (paskudni złośliwcy dodaliby: i nigdzie!), wiecznie zalatany i zapracowany – powiązał się na amen i najwdzięczniej i ze Starym Miastem, i muzeum, i z Zamkiem!

Warto by może umieścić gdzieś jakąś tablicę choćby tylko wyliczającą ich nazwiska i imiona.

Mogłyby tu dać więcej materiału akta, lecz niestety w większości złośliwym splotem niedbalstwa czy losu – zaginęły. O inż. Stanisławie Żarynie mówi lakonicznie, beznamytnie skromna tabliczka, wmurowana po latach i już po jego śmierci w dziedzińcyku Murzynka. Nie mówi jednak o twórczym artyście, miłośniku Warszawy, o prawym, skromnym człowieku, którego dzieło trwa chwalebnie i świetnie, a którego miałem zaszczyt znać i związać się z nim węzłami serdecznej przyjaźni.

W początkach 1949 roku odbyła się na Starym Mieście we frontowej sali I piętra Murzynka – wielka narada. Zjechała się wtedy cała plejada godnych notabli, różnych specjalności architektów. Obradom przewodniczył sam minister Roman Piotrowski. Gospodarskie honory celebrowało muzeum, krzepiąc siły zapalonych dysputantów przygotowaną przez nasze panie niezłą kawą. W rezultacie przyjęto – choć były i opory, i zgrzytania zębów – zakresy i kształty dalszej odbudowy. Pamiętam, że ustalono: że wnętrza będzie się modernizować, że będzie się łączyć po dwie względnie nawet po trzy sąsiadujące z sobą kamieniczki. Wszędzie zainstaluje się elektryczność, gaz, wodociągi. Zachowa się natomiast sienie, klatki schodowe, a nade wszystko wszelkie zewnętrzne odrębności staromiejskich budowli. Ponadto wyczyści się zaplecza przez wyburzenie wszelkich szpecących je ruder, stwarzając w ten sposób malownicze „stare-nowe” dziedzińcyki lub całe ich ciągi. Wpuści się wreszcie wszędzie, gdzie można – nieco nieznanej tu dotąd zieleni. Zaplanowano też terminy, uchwalono przyśpieszyć odbudowę. Z tego przyśpieszenia nie wszystko, jak dziś wiemy, obróciło się na dobre, ale Stare Miasto wygląda pięknie, a nawet pokrywa się patyną, jeśli nie wieków, to na razie dziesiątków lat.

Na Ratuszu pomyślano i o mnie, uchwalając 13 XII 49 mianowanie mnie dyrektorem Muzeum m.st. Warszawy.

W ten sposób zakończył się mój okres siedzenia na „dwóch stołkach”. Mimo iż przestałem być odtąd wicedyrektorem Archiwum – nie zerwałem



12. Podpisywanie aktu upaństwiającego Muzeum m.st. Warszawy, 1950 r. Od lewej: prof. Stanisław Herbst, N.N., N.N., kustosz Wacław Zienkiewicz, dyr. K. Krukowski, dyr. Adam Słomczyński.



13. Pożegnanie dyr. Adama Słomczyńskiego (stoi pośrodku) – fotografia pamiątkowa pracowników Muzeum, 1950 r.

z nim ani z kolegami archiwistami jak najbliższych więzów zainteresowań i przyjaźni. Stosunki ułatwiało sąsiedztwo niemal „o miedzę”. Muzeum pracowało już w całkowicie wykończonym, oświetlonym, ogrzonym, nawodnionym i skanalizowanym Murzynku. Archiwum – zlikwidowawszy swe trzy lokale na Marszałkowskiej – zajęło oficynę wewnętrzną, Baryczkowską (z wejściem od Krzywego Koła 7).

Miejski blok archiwalno-muzealny począł więc funkcjonować. Zdawało się, że już tak będzie...

W roku 1950 nastąpiło upaństwowienie najpierw muzeum, a w rok potem i Archiwum Miejskiego.

Specjalnie wyznaczonej komisji przejmującej nas z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki przewodniczył prof. dr Stanisław Herbst. Miasto reprezentował dyr. Wydziału Prezydialnego, K. Krukowski.

Próbował protestować – bez skutku – prezydent Tołwiński. Centralizacja na razie zwyciężyła. Dopiero kilka lat temu muzeum wróciło znowu do swych macierzystych władz – Prezydium Warszawskiej Rady Narodowej.

Na tym kończę to opowiadanie o najbujniejszym okresie mego życia, a jednocześnie opisanie mych prawie 25-letnich służb miejskich pod znakiem warszawskiej syreny.